№ 39 WARSZAWA, DNIA 28 WRZEŚNIA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

MARJA KACZKOWSKA.

ODZIMEK CZYLI RYCERZ ŚPIĄCY

(BAŚŃ TATRZAŃSKA).

WSTĘP.

Tatry, te wyniosłe góry,
Pełne dziwów, cud natury —
Gdy weń wejdziesz, dziw nieznany
Zda się gród zaczarowany.
Ustroń w górach, miła, cicha,
W niej też człowiek lżej oddycha,
Na tych szczytach śnieg bieleje
Burza huczy, wiatr szaleje.
Gdy się wspinasz na ich szczyty
Z podziwienia stajesz wryty —
Na mil wiele, wzrok twój sięga,
Lęk przejmuje gór potęga.
Tatry nagie i skaliste —
A nad niemi niebo czyste.

M. K.

Tatry, u stóp których rozłożyło się Zakopane, ciągną się od zachodu na wschód pasmem na 240 kilometrów kwadratowych w Galicji. Dzielą się na dwie odrębne części:

Tatry granitowe i wapienne.

Pierwsze z nich mają najwspanialsze krajobrazy, cudne widoki, posiadają w sobie grozę, ale i piękność.

Charakter wapiennych skał o wiele łagodniejszy—szczyty tych ostatnich niższe, okryte trawą, kształtem więcej zaokrąglone, obfitują w liczne groty.

Tatry granitowe mają szczyty nagie, urwiste, przeplatane głębokiemi przepaściami, posiadają mnóstwo jezior i stawów.

Granitową część nazwano Tatrami Wysokiemi, czyli Wschodniemi, część niższą Zachodniemi. Jednej od drugich oddziela przełęcz, zwana Liljową lub Bialską.

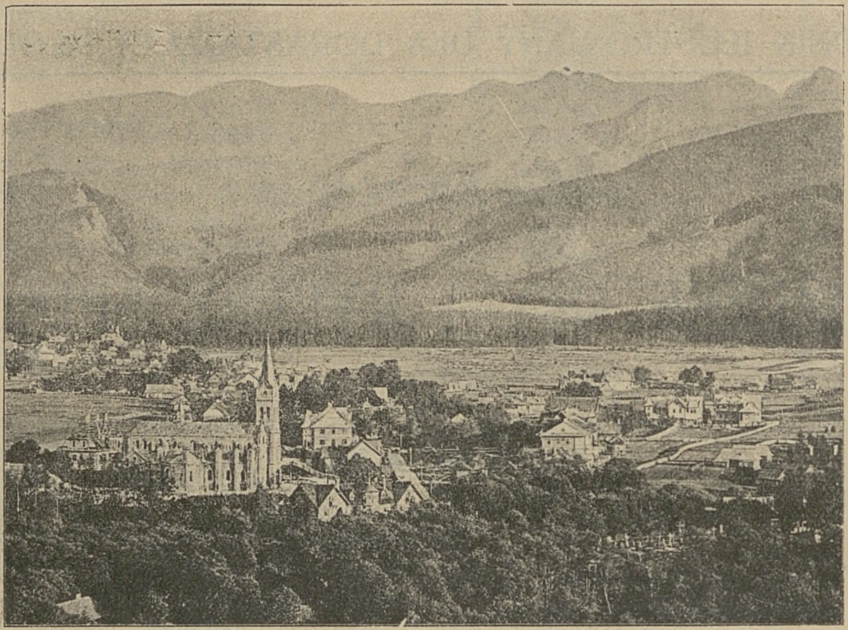
Najwyższe szczyty Tatr zowią się: Bystra, Gierlach, Lodowy, Durny. Najbliżej Zakopanego — Świnica, Giewont, Czerwone Wierchy i t. d.

Lodowców w Tatrach niema, pomimo, że wznoszą się ponad linję śnieżną, za to w szczelinach i przepaściach leży nigdy nietopniejący śnieg.

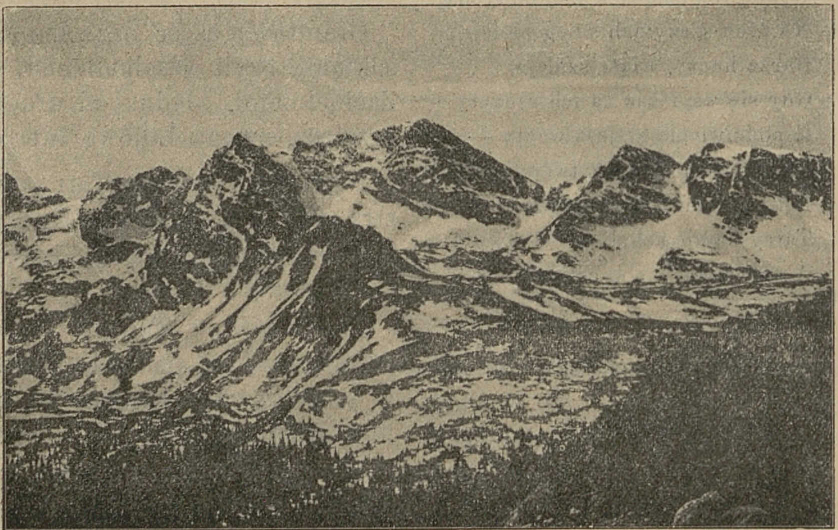
U stóp Tatr, na dolinach, zwanych podhalami, rozrzucone są chaty, wioski, osady. Stoki gór pokrywają, do znacznej wysokości, wielkie lasy, niżej liściaste, wyżej szpilkowe, zwane reglami. Wyżej przestają rość drzewa, znajdują się pastwiska, zwane przez górali halami, a wreszcie

grzbiety, całkiem nagie, dokąd zabiegają owce, a gdzie żyją kozice.

tycę (serwatkę), oraz doskonałe owcze serki, zwane „oszczypkami”.



Ogólny widok Zakopanego.



Szczyt gór: Świnnica.

Owce pasą się na polanach i halach to jest łąkach, dolinach, gdzie doskonała pasza dla bydła. Tam przygotowują górale żen-

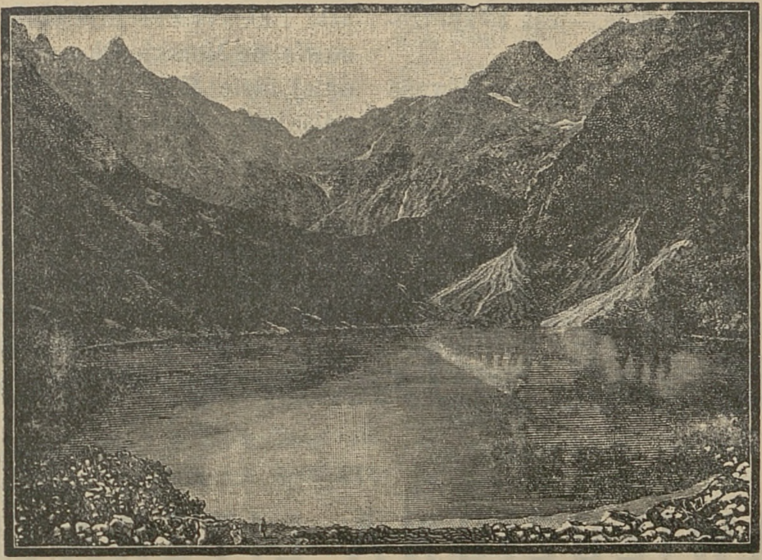
Stado owiec, czyli „kierdelek” w mowie góralskiej używany wyraz, zostaje pod opieką bacy, który ma do pomocy „juha-

sów" (pasterzy), a ci znów gońców, których używają na posyłki.

Z wczesną wiosną na halach słyszeć się dają smutne tony fujarek, lub wrzaskliwe głosy kobzy, odbijające się echem od skał.

Z początkiem jesieni, na wiosnę, a nawet w czasie zimy, pojawia się w górach szczególny wicher ciepły, zwany halnym, wiejący z południa od hal — wtedy gaszą w chatach ogień, gdyż wicher ten wnika w każdą szczelinę i łatwo wywołać może pożar; działa też na organizmy słabsze wielce gnębiąco.

W jesieni występują gęste mgły, zwa-



Morskie Oko.



Czarny staw.

ne „suche dymy", które nieraz w zupełności zasłaniają góry — w czasie przewlekłych deszczów, doznaje się też dziwnego wrażenia, jakgdyby góry zbliżały się,— stając się wielce wyraźne,—jest to złudzenie optyczne.

Szczególna pojawia się też osobliwość „żarzenia się gór", w czasie zachodu słońca--wtedy się zdaje, że szczyty całe są w płomieniach. (W Alpach takie żarzewie zwie się Alpenglühen).

W okolicach, okolonych turniami, spotykamy jeziora górskie, których jest przeszło 100. Najznaczniejsze i najpiękniejsze zowie się Morskie Oko, czyli Jezioro Rybie, dalej idzie Wielki Staw, jeden z 5 stawów polskich — Wyżni Staw i wiele innych.

D. c. n.

ZAWIEDZIONA LITERATKA

Komedyjka w jednej odsłonie,

przez MARYLĘ ŻARSKĄ.

☐ ☐ ☐

DOKOŃCZENIE.

Jadzia (śmieje się). Ani na hrabiego, ani na księcia, ale jesteście mili i kocham was bardzo. Ja tylko mówiłam o tych, których nie znam.

Antoś. Bogowie! to dopiero kobieca logika. Jakże można wydawać sąd o osobach nieznanych? W niedzielę pomówimy o nich, a tymczasem dajcie sobie buzi i idźcie do Hani, która potrzebuje waszej pomocy przy ustawianiu kwiatów.

Jadzia. Ach to dobrze, śpieszmy się Helenko! (wybiegają).

SCENA X.

Antoś. Dobrze, że się pogodziły, ale uważałeś, ta mała ma taki sam tonik, jak Kamilla.

Władek. Wart Pac pałaca a pałac Paca (spostrzega gazety). Patrz Antosiu, są pisma o, jest i Bluszcz.

Antoś. Spojrzyj, może tam co napisali o Kamilce, a może i naprawdę wywróżyliśmy jej pierwszą nagrodę.

Władek (szuka). O jest, patrz! (czyta): p. Kamilli N. Nie możemy odmówić młodej autorce pewnych zdolności, ale radzimy, aby przedwcześnie nie próbowała swoich sił na polu literackiem. Przedewszystkiem należy się jeszcze uczyć. Utwór słaby, nie kwalifikujący się do druku.

Antoś (zmartwiony). Co teraz począć? Zły jestem, że się tak stało. Niechby tam sobie przeczytała tę epistołę w Warszawie.

Władek. Rzeczywiście, niezręcznie jakoś się złożyło.

SCENA XI.

Ciż, Babcia i Hania.

Babcia. Antosiu, girlandę w salonie trzeba jeszcze trochę podnieść. Ale czego jesteście tacy zasępieni?

Hania. Władek wyskubał sobie wąsy, których niema... Co wam się stało?

Antoś. A bo widzi Babcia, chcieliśmy Kamilce urządzić figla, a tymczasem wyszło wielkie głupstwo.

Hania. Coście takiego zrobili?

Babcia. Mówcie wyraźniej, bo nie rozumiem.

Władek. Babunia wie, że Kamilla napisała nowelkę, którą posłała na konkurs do Bluszczu.

Babcia. Wiem, moje dziecko.

Władek. Ponieważ się strasznie z tego pyszniła i nawet nam przymówiła w złośliwy sposób, że mamy nogi zamiast głów, postanowiliśmy z Antkiem ją ukarać. Napisaliśmy do niej list od redakcji, która jej niby daje pierwszą nagrodę na konkursie. Mieliśmy ochotę uśmiać się z jej nadętej miny.

Antoś. Tymczasem w dzisiejszym numerze jest wzmianka, że utwór słaby i że drukowane nie będzie. Nie myśleliśmy, że to tak prędko nastąpi i że to ją spotka w naszym domu.

Władek. Jakże zły jestem teraz na swój pomysł.

Hania. Boże! jak się biedaczka zmartwi!

Babcia (przeglądając Bluszcz). Źle się stało, moje dzieci, że w tak nieprzyjemny sposób zażartowaliście z Kamilki, która jest naszym gościem. Trzeba to jednak zaraz naprawić (zastanawia się). Ja jej to wytłómaczę.

SCENA XII.

Ciż i Kamilla.

Kamilla (wpada z listem w ręku). Babciu, Haniu, jestem laureatką, otrzymałam pierwszą nagrodę! Cieszcie się ze mną. A nie mówiłam, że tak będzie?

Hania. Kamilko!

Babcia. Kamilciu! Dziecko drogie! nie gniewaj się na chłopców. Oni cię najmocniej przepraszają za swój żart. Bo to oni napisali list od redakcji, a teraz bardzo tego żałują.

Kamilla. To oni? (Uśmiecha się z przymusem). Może mi zresztą wywróżą—nie dziś, to jutro.

Babcia. Niestety, moje dziecko, to się już rozstrzygnęło. Redakcja radzi ci, abyś się wpierw zajęła nauką, a pisanie odłożyła na później.

Kamilla. Co Babcia mówi?

(Babcia daje jej gazetę, Kamilla czyta i wybucha płaczem).

O ja nieszczęśliwa! Niegodziwa ta redakcja, tak naigrawać się ze mnie!

Hania (całując ją). Kamilciu droga...

(Władek buja się na fotelu, Antoś siedzi przy stole z głową wspartą na ręku).

Babcia. Uspokój się, Kamilciu! Zastanów się, pomyśl. Czyż przy piętnastu latach człowiek może być kompletnie wykształcony? Czy nie czujesz, ile ci jeszcze brakuje wiadomości, jak wiele potrzebujesz nauki? Chcąc pisać, kochanko, trzeba mieć o czem, trzeba umieć ludzi nauczyć, rozerwać. A czy ty jesteś, Kamilciu, pewną, że to potrafisz?

Kamilla (przez łzy). Zdawało mi się, Babciu. Przecież się wszyscy profesorowie zawsze zachwycali moim stylem.

Babcia. Nie przeczę, dziecko drogie, ale chwalono cię zapewne jako zdolną uczenicę, z której spodziewano się, że w przyszłości wyrośnie dzielna kobieta, rozumna

autorka. Ręczę ci jednak, że żaden z twoich nauczycieli nie zachęcałby cię. abyś tak wcześnie próbowała sił swoich jako literatka. Ale ty, dziecko, nikogo się pewno nie radziłaś?

Kamilla (już spokojniej, po chwili namysłu). Nie, Babciu... Myślałam, że jestem lepiej przygotowaną od moich koleżanek.

Babcia. Nigdy, Kamilciu, nie trzeba się wynosić nad innych ludzi. Takie wygórowane pojęcie o sobie bynajmniej rozumu nie dowodzi, ale Kamilka się z tego poprawi, będzie od dzisiejszego dnia prostą, naturalną, jak przystało na wiek jej młody, wszak prawda? (całuje ją).

Kamilla (zawstydzona). Droga Babciu, postaram się o to. Tylko mi przykro, że teraz wszyscy ze mnie śmiać się będą — Hania, chłopcy...

Hania. Kamilciu, jeszcze więcej kochać cię będę!

Władek. Ty tylko nie miej do nas urazy za niemądry żart...

Antek. Z całego serca tego żałuję!

Kamilla. Darowuję wam w zupełności. Ale i wy zapomnijcie o mojej nieprzyjemnej przygodzie.

Władek. Zapomnimy, ale musisz się wytańczyć z nami, czy zgoda?

Kamilla. Z największą chęcią.

Babcia. No to chodźcie dzieci, zrobimy próbę w salonie. Zagram wam naszego krakowiaka, którego jeszcze tańczyłam, będąc panną. Dobre to były czasy! (Wychodzą).

Kurtyna zapada.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Wynalazł mi w zakątkach podziemnego arsenału lekką a mocną łódkę, zrobioną z szyldkretu żółwia morskiego: pojedyńcze tabliczki były spojone tak ściśle, iż tworzyły jednolitą masę.

Była ona wązką i zgrabną, i mogła pomieścić dwie osoby, oprócz koniecznych narzędzi i zapasów.

Dorobiłem do niej ster i wiosła z desek cedrowych, oderwanych od pak, leżących w składach i wkrótce mój statek został przez Niewidzialnych spuszczony na wodę i umocowany na kotwicy u stóp wieży. Wziąłem dostateczny zapas żywności, lecz nie sporządzałem żagli, ponieważ zauważyłem dwa prądy morskie, odznaczające się barwą swych wód: jeden płynął ku południowi, drugi z południa—postanowiłem więc z nich skorzystać.

Nie bez wzruszenia tedy, na trzy dni przed

datą odlotu następnej gromady, zsunąłem się na mocnej linie z wieży na moją łódkę.

Po kilku uderzeniach wioseł byłem już na prądzie, który zaczął mię szybko unosić na południe.

Miałem ze sobą mapę, wyrysowaną węglem na desce cedrowej, oprócz tego, otrzymałem tak dokładne wskazówki co do kierunku drogi, iż omyłka była wykluczoną.

Pogodę miałem przepyszną: na morzu spokojnem jak toń zacisznego jeziora, widniały bliżej i dalej olbrzymie wieże szklane w niezliczonej ilości. Dzięki mojemu hełmowi, na każdej z nich widziałem u wierzchu gromady Niewidzialnych, przyglądających mi się z ciekawością i strachem.

Przy końcu dnia wylądowałem na piasczystej wysepce, pełnej ptactwa i skorupiaków, a spędziwszy tam noc, o świcie popłynąłem dalej.

Morze przybrało teraz inny wygląd: wieże znikły, a z głębi fal ciemnych, odbijających w sobie ponurą, czarniawą barwę chmur burzliwych, wystawały wierzchołki skał posępnych, czerwonawego koloru.

Upał był duszący. Dokoła mojej łódeczki uwijały się olbrzymy morskie podobne do rekinów; jedno uderzenie ich potężnych szczęk, uzbrojonych straszliwemi zębami zmiażdżyć mogło łódkę wraz ze mną—lecz byłem widocznie dla nich zbyt drobną zdobyczą.

W połowie dnia, ujrzałem w stronie południowej wierzchołek góry szarawej, który w miarę zbliżania się rósł tak szybko, iż przed wieczorem zdał się już dosięgać obłoków.

Domyśliłem się, iż jest to mieszkanie tyrańskiego władcy i byłem mocno wzruszony tym dowodem prawdziwości ich opowiadań.

Góra ta zdawała się wywierać wpływ przyciągający na moją łódkę, jak owe góry magnesowe w opowieściach wschodnich.

Ogarnęło mię szczególne uczucie: zapytywałem się sam, czemu opuściłem bezpieczne schronienie w wieży, gdzie mogłem badać historję planety w spokoju i narażam się na pewną zgubę?

Potrzebowałem wielkiej siły woli, aby nie uledz pokusie powrotu do Niewidzialnych, o których teraz myślałem z wdzięcznością prawie; opanowałem się jednak—i przezwyciężyłem tę słabość ducha.

Tego wieczora wylądowałem na skale, szarpanej od spodu falami i nie miałem ani chwili spokoju. Zaraz po zachodzie słońca wybuchła burza: olśniewające błyskawice przecinały niebo, rozszalałe fale opryskiwały mię co chwila, a deszcz ulewny, przy huku grzmotów, przenikał aż do kości. Wiedziałem, że w wielu gorących krajach, jak np. na wyspach Antylskich, burze przychodzą codziennie, odświeżają wieczorem powietrze i ziemię wysuszoną upałem dziennym. To przypomnienie uspokoiło mię, jako naturalne wyjaśnienie słów Niewidzialnych, iż «kraj południowy jest wstrząsany ciągłemi burzami».

Rankiem odszukałem swoją łódkę tam, gdzie ją umieściłem przed wieczorem, w bezpiecznem zagłębieniu skały i puściłem się na morze.

Deszcz nareszcie ustał; upał jednak był duszący a niebo pochmurne. Olbrzymia góra wznosiła się teraz przedemną z głębi morza, w kształcie prawidłowej półkuli; była zupełnie taką, jak na wzorach, wyszywanych na materjach. Wysokość jej równała się szczytowi Mont-Blanc; lecz u podstawy była trzy razy większej objętości.

Teraz już widziałem, że na prawo i lewo od góry, grunt jest coraz niższy i pokryty rozległym lasem; lecz drzewa te świeciły zdaleka połyskiem jasnego metalu.

Nie zastanawiałem się jednak nad tem; całą moją uwagę pochłaniała ta przeklęta góra, która zdawała się być tak bliską — lecz w rzeczywistości była jeszcze daleką ode mnie.

Z morza wystawały ławice piasku i skały,

tak, że z wielką trudnością łódka przesuwała się między niemi: mnóstwo martwych ptaków i ryb leżało na wodzie, jak gdyby samo sąsiedztwo tej straszliwej góry było złowrogiem dla wszelkiej żyjącej istoty.

Zewsząd otaczała mię mdła woń stęchlizny i rozkładającego się mięsa.

Żaden krajobraz ziemski nie może dać pojęcia o tym widoku ponurym, a tak potężnym.

Około południa zbliżałem się do brzegu małej wysepki, pokrytej zielonością, gdzie chciałem trochę odpocząć; stamtąd też zamierzałem obserwować co się stanie z Niewidzialnymi po ich przybyciu. Lecz wkrótce ujrzałem, że te kwieciste drzewa były rosnącemi na bagnie oleandrami, a zapach gorzkich migdałów, zdradzający obecność kwasu pruskiego w tych pięknych kwiatach, usuwał wszelką wątpliwość. Szczątki owadów, drobnych zwierząt i ryb, pokrywające wybrzeże, oznajmiały aż nadto wyraźnie, co mi tu grozi.

Oddaliłem się więc jak najprędzej ze smutkiem w duszy, widząc, iż jestem tu tylko igraszką sił potężnych, niszczycielskich. Niewidzialni mieli słuszność—śmierć czyhała tu na każdym kroku!

Byłbym natychmiast odpłynął z powrotem, lecz do końca dnia było nie więcej nad dwie godziny, a przy rozstrojeniu nerwów, w jakiem się znajdowałem, byłoby mi niepodobnem odnaleźć prąd powrotny. Ze względu zaś na nową burzę, nie chciałem wtedy znajdować się na morzu. Zresztą, czyż mam się oddalić, nie dowiedziawszy się niczego?

To też, choć z niejakiem drżeniem, zacząłem krążyć ostrożnie dokoła tej strasznej góry, szukając miejsca stosownego do wylądowania.

Przyjrzawszy się jej bliżej, zobaczyłem, że jest to olbrzymia, jednolita masa białego kwarcu. Jej gładkie ściany, wznoszące się przedemną prawie prostopadle, były najzupełniej niedostępne. Opływałem ją dokoła, a na otaczających ją ławach piasku widziałem stosy skrzydeł i macek Niewidzialnych, wydające woń nieznośną. Zauważyłem wówczas, iż widzę te szczątki bez pomocy mego hełmu, co dowodziło, iż istoty te tylko za życia są niewidzialne i własność ta znika u nich wraz z życiem.

Pływałem wciąż dokoła olbrzymiej góry, aż wkońcu zauważyłem z jednej strony, ciemny otwór, zdający się być bramą tajemniczą, prowadzącą do wnętrza olbrzymiej bryły kwarcu.

Skierowałem się w tę stronę i po niejakim czasie stanąłem z łódką u wejścia do ciemnej pieczary. Nie miałem jednak ochoty zapuszczać się w jej głąb, szczególniej, gdy ujrzałem, że szczątki Niewidzialnych były tu w tak wielkiej ilości, iż utworzyły rodzaj wstrętnego, gnijącego bagna.

Nie chcąc tracić z oczu owego wejścia, zatrzymałem się w pobliżu, a umieściwszy łódkę na noc w załamie skał, wyszedłem na kamienistą wysepkę, gdzie, odpocząwszy, chciałem się posilić, lecz pomimo, iż od rana nic w ustach nie miałem, jeść nie mogłem, gdyż uczucie przygnębienia i straszliwa woń odbierały mi apetyt.

Zaledwie zdołałem przełknąć parę łyków wzmacniającego napoju, zabranego z podziemia.

Zbliżanie się nocy przejmowało mię nieokreśloną trwogą; jakoż burza zaczęła się zrywać jeszcze przed zachodem słońca.

Zauważyłem wtedy rzecz niezwykłą: oto w miarę jak błyskawice stawały się częstsze i silniejsze, las drzew metalicznych otaczał się błękitnawym blaskiem, a na ich szczytach zaczęły się ukazywać płomyki podobne tym, które marynarze nazywają «ognikami Ś go Elma».

Las ten zdawał się nasycać burzą i wchłaniać ją w siebie.

Patrzyłem, nie pojmując tego zjawiska: ani na Ziemi, ani na Marsie nie widziałem nigdy, aby drzewo mogło być takim przewodnikiem elektryczności.

Z rozmyślań moich wyrwał mię głos

szczególny. Noc już zapadła, wicher był silny, lecz nad jego szumem górował jakiś jęk, jakby wychodzący z morza w północnej stronie, silniejszy z każdą chwilą.

Krew mi się ścięła w żyłach, włosy zjeżyły się na głowie... tak, to był żałosny, przedśmiertny krzyk Niewidzialnych!

Zapewne opuściły już swoje wieże, jak przed miesiącem — i teraz cała ich gromada z jękiem i krzykiem leciała, niesiona wichrem, ku miejscu swojej kaźni...

Na tle nieba, przerzynanego co chwila błyskawicami, widniały jak szarawa chmura, a ich krzyki rozdzierały mi serce. Zdawało mi się, że lecą tutaj wzywać mojej pomocy...

To było straszne: upadłem na piasek, dysząc ciężko, nie mogąc jednak oderwać oczu od tego pełnego szatańskiej grozy widoku.



Cała chmara nieszczęsnych stworzeń przeleciała o kilka metrów zaledwie nad moją głową i ujrzałem, jak lecące na przedzie niknęły w otworze góry, niby w potwornej

paszczy, opromienionej teraz bladawem światłem...

Tłoczyły się tam, gnane jakąś siłą straszliwą, jak owce w drzwiach rzeźni i cała ta masa jęcząca, wyjąca strasznym głosem, nikła, pochłaniana powoli przez mroczną, posępną górę...

D. c. n. (Tłom. z fran. *K. W.*).

CZAS.

(MONOLOG)

— Nie pojmuję doprawdy, dlaczego ludzie przedstawiają mnie w tak brzydkiej postaci, jako starca chmurnego, ze zmarszczonym groźnie czołem i nieubłaganą kosą w ręku!

Czyżby nie można sobie wyobrazić tak samo młodzieńca z uśmiechniętą twarzą, z rękami pełnemi kwiatów?

Nie przeczę, że przynoszę z sobą zimę, ale czyż nie ja również sprowadzam wiosnę, która ukwieca łąki, lasy, ogrody, czyż pomijam lato, odmawiam żniw, świeżych jarzyn, wczesnych owoców? Czyż nie zemną przychodzi jesień, darząc ludzi swemi płodami?

Prawdą jest, że przynoszę cierpienia, ale też i roskosze, obok łez także wesołe uśmiechy...

Istotnie nie pojmuję, dlaczego jestem zawsze tak niesprawiedliwie oskarżany, spotwarzany? Nikomu nie potrafię dogodzić, nikt ze mnie nie jest zadowolony.

Jeden mówi:

— Ach, jak ten czas leci!

Drugi:

— Dlaczego ten czas tak się wlecze?

Trzeci:

— Gdyby czas nie biegł tak prędko, stworzyłbym arcydzieło.

Czwarty:

— Ani wiem, jak ten czas zabić!

Rozumiecie? chciałby mnie zabić!

A jednak bywa jeszcze gorzej.

Posłuchajcie tylko niektórych ludzi, takich jak: leniuchy, niedołęgi, roztrzepańcy; ci twierdzą, że ja jedynie przeszkadzam im w spełnianiu obowiązków, wytwarzaniu pracy pożytecznej i dobrej; oprócz tego jestem powodem różnych przykrości jakich doznają; (mówiąc między nami tylko z własnej winy).

Przychodzi jakaś choroba – katar...

— Tyle czasu trwa ta brzydka pogoda! naturalnie w takie zimno, każdy musi się zaziębić.

Dostaje ktoś bólu głowy.

— Nie miałem czasu wyspać się, więc mnie głowa boli!...

Dla czegóż ci wszyscy, niezadowoleni nie chcą zrozumieć, że to wszystko dzieje się z ich własnej winy. Dziwna pretensja! Oniby chcieli, żeby świat postępował według ich poglądów, potrzeb, programów. Tymczasem świat, to ja, który nie bacząc na gniewy, klątwy, potwarze, narzekania, postępuję wytkniętą koleją, nie zatrzymam się na żadne wołanie, ani przyśpieszę lotu, gdy słyszę:

— Przechodźże prędzej, nieznośny, niegodziwy czasie!

Zawsze obojętny, lecę swobodny, jak ptaszek: lecę, lecę, lecę!...

(wybiega z pośpiechem).



PORA ŁOWÓW.

Ciąg dalszy.

Legowisko swe, zwane gawrą, opuszcza niedźwiedź wcześnie, zwykle około połowy lutego, poszukując pokarmu: wtedy też schodzi mu dawna skóra z podeszew u nóg, a rośnie nowa, co musi mu sprawiać ból, czy swędzenie, gdyż je wciąż liże, co dało powód do bajki, że niedźwiedzie żywią się przez zimę wysysaniem tłuszczu z łap.

Nieco później niedźwiedzica wyprowadza do lasu swe małe, pocieszne, niezgrabne niedźwiadki, czarne z białym paskiem na szyi. Wszyscy trzymają się w gęstwinach, żywiąc się młodemi pączkakami, zjadają poziomki, grzyby i korzonki; lecz lato, w którem dojrzewa młody owies, gryka pachnąca, wywabia nocami niedźwiedzie na pola, leżące bliżej lasu, gdzie wyrządzają poważne szkody.

Dawniej, dopóki w lasach było dużo barci, stare niedźwiedzie, opuszczając swoją rodzinę, szukały ich po drzewach, a znalazłszy, wyjadały doszczętnie, nie bacząc na bolesne ukłócia pszczół, broniących swej pracy.

Czasem znów człowiek, wyśledziwszy, iż którą z barci odwiedza kudłacz, zawieszał na sznurze wielki kamień, lub kloc drzewa w ten sposób, aby zakrywał otwór barci. Niedźwiedź, wspiąwszy się po pniu do niego, odpychał łapą przeszkodę, która odtrącona, wracała natychmiast, tłukąc boleśnie niedźwiedzia, który po kilkunastu takich uderzeniach spadał ciężko na ziemię, gdzie go najczęściej strzelec dobijał.

W dawnych czasach, gdy broń palna była mało rozpowszechnioną, dobrzy myśliwi szli na niedźwiedzia z dzidą czyli

oszczepem i długim nożem, zwanym kordelasem, który wbijali w serce idącemu już ku nim na dwóch łapach.

Skóra niedźwiedzia stanowiła nagrodę zwycięzcy, a pieczone łapy uważane były za wyszukany przysmak.

nie z naganką, prowadzone bardzo zręcznie.

Nieraz ofiarą ich staje się łoś, lub młody dzik, próbujący już odłączać się od stada: lecz jeśli inne są w blizkości, śpieszą mu z pomocą, a wtedy nierzadko wilki bywają zwyciężone.



Wilki w zimie.

Za to wilk, nic oprócz futra ludziom nie daje, choć zrządza więcej od niedźwiedzia szkody, a wrazie głodu jest i dla człowieka niebezpiecznym; gdy jednak ma dosyć żywności, stchórzy przed psem, lub człowiekiem, uzbrojonym bodaj w kij porządny.

W zimie łączą się one w gromady i urządzają nieraz na inne zwierzęta polowa-

Dla swej drapieżności i łakomstwa zostali ci rabusie wszędzie skazani na zagubę, to też w wielu krajach wytępiono je zupełnie: w Anglji oraz w Niemczech północnych i środkowych już ich spotkać nie można wcale; u nas trzymają się jeszcze w lesistych okolicach Litwy, a nawet gdzieniegdzie i w Królestwie jeszcze się ukazują.

(D. c. n.)

REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Uspokoiło to trochę panią Marcinową, radą, że przerwała choć na chwilę panujące na bryce milczenie...

W półgodziny, rzeczywiście, bryka zajechała do Bodzanowa, dość dużej osady, i zatrzymała się przed oberżą...

Pani Marcinowa wysiadła, by zająć się przygotowaniem posiłku, Tomasz zajął się końmi, profesor zaś z Pawełkiem skierował się w stronę kościoła, strzelającego starożytnemi wieżycami ku niebu...

— A niech pan profesor zaraz wraca na obiad, żeby to nie było tak, jak z dzisiejszem śniadaniem—zawołała w ślad za nim pani Marcinowa, która nie mogła sobie odmówić tej małej zemsty.

— Dobrze, dobrze! — rzekł profesor, a idąc drogą, objaśniał Pawełkowi:

— Bodzanów należy do liczby najstarszych osad u nas... Już w r. 1351 posiadał przywilej miejski... Najciekawszą w nim rzeczą jest kościół murowany, wzniesiony w XIV a najpóźniej w XV wieku, i posiadający dwa piękne ołtarze, rzeźbione z drzewa, roboty XVI wieku. Obejrzymy je i wracamy natychmiast do oberży, gdyż czas już wielki na nas puścić się w dalszą drogę, chciałbym bowiem na wieczór stanąć w Płocku.

Obejrzeli kościół i ołtarze, rzeczywiście nadzwyczaj pięknej i misternej roboty, choć znać na nich było pewne nieudolności artysty, i śpiesznie wracali do oberży.

Pani Marcinowa zdążyła przygotować już wszystko, więc z uśmiechem zadowolenia przywitała ten ich pośpiech.

Po godzinnym popasie wyruszyli w dalszą drogę. Nie było sądzonem zakończyć im ten dzień bez przygód. Na połowie drogi do Płocka napotkała ich silna burza, połączona z ulewą. Pani Marcinowa powyciągała śpiesznie różne płachty i worki, któremi pookrywała wszystkich, rozpięła parasol olbrzymi, pod którym bezpiecznie ukryć się mogła cała rodzina, z ośmiorga osób złożona—i tak przeczekano ulewę.

Minęła wreszcie, błysnęło słońce, miljonami błysków odbijając się w kroplach wody deszczowej i w dalszą wyruszono drogę.

O zmierzchu ukazały się pierwsze domy Płocka.

Tomasz, rad z tego, że wkrótce będzie mógł wypocząć, popędzał konie, byle tylko jaknajprędzej stanąć na miejscu.

Pawełek błyszczącemi oczyma przyglądał się nieznanemu miastu, do którego się zbliżali, wieżycom jego, oblanym złotemi promieniami słońca; chciał się rozpy-

tywać profesora o nie i już pierwsze zadał pytanie:

— Jak dawno stoi Płock?—gdy pani Marcinowa wybuchnęła:

— Czego męczysz pana profesora głupiemi pytaniami? Nie widzisz, że jest zmęczony? Nie możesz zaczekać do jutra? Płock ci nie ucieknie!

Uśmiechnął się łagodnie profesor na taką replikę i odrzekł:

— Nie ma się Marcinowa czego unosić. Chłopiec dobrze robi, że się pyta, gdyż w ten sposób czegoś się nauczy. Jutro wstaniemy o świtaniu i udamy się na zwiedzanie miasta, a wtedy objaśnię ci wszystko szczegółowo.

Noc już była, gdy bryczka zadudniła na bruku miejskim. Zaczęły się poszukiwania hotelu, w którym możnaby było zatrzymać się na nocleg.

Zapytali o to przechodnia, a ten wskazał im jeden z lepszych, położony w środku miasta.

Trzymając się jego wskazówek, podążyli tam i znaleźli hotel rzeczywiście skromny, lecz za to czysty, sprawiający wogóle bardzo sympatyczne wrażenie.

Podczas gdy profesor Nicki umawiał się o numery, pani Marcinowa znów zajęła się troskliwie sprawą nakarmienia podróżnych. Konie i bryczkę zaprowadził Tomasz do stajni i wozowni.

Wszyscy byli bardzo znużeni podróżą, to też po lekkiej kolacji udano się zaraz na spoczynek.

Pawełek, który dostał nocleg w jednym pokoju z profesorem, usnął natychmiast, jak tylko głowa jego dotknęła poduszki.

Pamiętał jednak dobrze o obietnicy profesora, gdyż zaledwie słońce wzeszło, obudził się, i uniósłszy się na łóżku, rozglądać się zaczął ciekawie wokoło, patrząc, czy profesor śpi, czy nie.

Lecz profesor spał, spał smacznie, pochrapując z lekka. Pawełek leżał nieruchomo, bojąc się przerwać sen jego, to też obudził się on dopiero, gdy zegar wybił siódmą.

Widząc, że Pawełek nie śpi, rzekł:

— Zaspałem, chłopcze. Lecz to nic, powetujemy to sobie... Ubieraj się pocichutku. Pójdziemy teraz na miasto, a potem powrócimy na śniadanie.

Nie potrzeba było dwa razy Pawełkowi tego powtarzać. W jednej chwili zerwał się z łóżka i nie minęły nawet dwa pacierze, gdy był już ubrany, zupełnie gotów do drogi.

Profesor również wkrótce ubrał się i pocichu, by nie obudzić pani Marcinowej, śpiącej w przyległym pokoju, wysunęli się za drzwi.

Lecz nie sądzonem było, ażeby ten projekt ich uwieńczony został powodzeniem.

Zaledwie minęli próg pokoju, w drzwiach swego numeru ukazała się pani Marcinowa, i patrząc groźnie na wymykających się, rzekła:

— A to gdzie? Pewnie pana profesora ten obrzydliwy chłopak mordował tak, że uległ mu i tak rano, bez śniadania chciał iść na miasto?

Nie pomogły żadne tłomaczenia i perswazje. Pani Marcinowa nie puściła ich na zwiedzanie miasta bez śniadania, tak, że wyjść mogli dopiero o godz. 9 rano.

Znalazłszy się po za bramą hotelu, zaczął zaraz profesor objaśniać Pawełkowi:

— Płock należy do rzędu najstarożytniejszych miast Polski. Według tradycji, tu został wzniesiony przez Mieczysława I jeden z dziewięciu kościołów, zaraz po wprowadzeniu chrześcijaństwa. Bolesław Chrobry zamienił kościół ten na katedrę i odtąd datuje się nadzwyczaj szybki rozwój miasta. Władysław Herman i syn jego, Bolesław Krzywousty, częściej w Płocku przebywali, niż w Krakowie, i tu nawet pochowani zostali.

Po rozdziale kraju przez Leszka Białe-

go, w r. 1207, Płock, zrazu stolica całego Mazowsza, był stolicą jednej z najgłówniejszych jego dzielnic, która od córki Ziemowita, zaślubionej Konradowi Czarnemu, ks. śląskiemu na Oleśnicy, odkupioną i do korony przez króla Kazimierza W. wcieloną została. W r. 1351 Kazimierz W. podźwignął Płock, tak jak i wiele grodów innych: przebudował bowiem, a raczej wystawił nowy zamek i miasto otoczył murem, nadając mu przytem różne swobody, które następni królowie chętnie potwierdzali. Dzięki temu Płock należał do rzędu miast bardzo ludnych, przemysłowych i obszernie a pięknie zabudowanych; w w. XVI uchodził nawet za pierwsze po stolicy miasto.

D. c. n.

KRONICZKA.

△ W Mandżurji wybuchła rewolucja wojskowa. Rząd chiński zaprowadził stan wojenny.

△ Na łodzi motorowej przepłynęli z Ameryki do Petersburga czterej śmiali podróżnicy pod wodzą kapitana Day'a.

△ Trzęsienia ziemi w Turcji ponawiają się. Wiele miejscowości zostało całkowicie zniszczonych.

△ W Japonji, w dzień pogrzebu mikada, umarł śmiercią samobójczą wraz z żoną bohater wojny rosyjsko-japońskiej, zdobywca Portu - Artura, gen. Nogi. Samobójstwo popełnił dla uczczenia zmarłego, ukochanego władcy.

△ W Warszawie zmarł wskutek tragicznego wypadku, ś. p. Franciszek Kamieński, uczony botanik polski, prof. uniwersytetu w Odesie, autor wielu cennych prac z zakresu botaniki.

„O własnych siłach".

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez „Kartagińczyka".

—o—

Z następujących sylab ułożyć 19 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko zasłużonego pedagoga polskiego.

Sylaby: djusz, o, te, bro, po, ol, ń, ki, ił, mor, go, priam, is, sen, liń, chi, ny, stwosz, ski, ża, yen, ze, o, kal, us, ca, wi, njas, nan, li, na, jo, nyks, wer, e, win, sa, kay, a, ga, sus.

Znaczenie wyrazów:

1. Rzeka w Europie.
2. Bogini Bretońska.
3. Miasto pamiętne w starożytności.
4. Miasto w Anglji.
5. Powieściopisarz egzotyczny.
6. Miasto w Grecji.
7. Słynny podróżnik do bieguna północnego.
8. Twórca religji.
9. Gatunek marmuru.
10. Jezioro w Afryce.
11. Klasyk rzymski.
12. Król Troi.
13. Miasto w Ameryce.
14. Bożek Grecki.
15. Pieniądz japoński.
16. Spółgłoska.
17. Rzeźbiarz polski XV wieku.
18. Szewc - patryjota.
19. Ruiny zamku.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez „Przyjaciółki".

—o—

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z dołu do góry, utworzą imię i nazwisko wielkiego męża stanu z czasów Księstwa Warszawskiego.

Sylaby: gon, a, ha, taug, ro, kwa, li, ar, go, o, so, i, da, bja, fro, y, kry, na, ta, niel, try, mi, cim, no, me, ze, ald, gat, no, ta, mu, ran, fja, gu, no, li, mo, cho, dy, re, za, bi, a, cja, trja.

Znaczenie wyrazów:

1. Rzeka na Wołyniu.
2. Część staroświeckiego ubioru.
3. Miasto w Bulgarji.
4. Samogłoska.
5. Imię męskie.
6. Gatunek małpy.
7. Nauka.
8. Inaczej przywrócenie dobrego imienia.
9. Grecka bogini piękności.
10. Imię żeńskie.
11. Miasto nad Dniestrem.
12. Kwiat
13. Drogocenny kamień.
14. Postać biblijna.
15. Składnik powietrza.

GAWĘDKA LISTOWNA.

Biały Orlik nadesłał błędne rozwiązanie łamigłówek z 39 go numeru «Naszego Świata». Logogryf sylabowy jest zbyt łatwym i z tego powodu umieszczonym nie będzie. Szaradę przyjmuję.

Niepewnej. Utwory nie nadają się do druku. Rękopis jest do zwrotu w redakcji.

Karolowi S. Ochronkę można zwiedzać każdego Czwartku, w godzinach od 10 — 4.

Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce, uprzejmie prosimy o wcześniejsze nadsyłanie przedpłaty za kwartał 4-ty.

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 2.